

BYŁEM TAM

...Nie sposób zrozumieć i wyobrazić sobie tego, co my deportowani do łagrów syberyjskich przeżyliśmy i przeszliśmy. To był istny przemarsz przez ziemskie piekło - piekło głodu, chłodu, katorżniczej pracy, poniżenia. Żeby to zrozumieć i odczuć - trzeba było tam być... Wspomnienia z pobytu na Syberii poświęcam pamięci mojej Matki - której zawdzięczaam swoje ocalenie oraz Tym, którzy zostali tam na „Nieludzkiej Ziemi” - na zawsze.

Moje wspomnienia nie będą szczegółowe, nie będzie dokładnych dat. Od tamtych dni minęło sporo czasu, a byłem wtedy małym chłopcem więc już niewiele pamiętam.

To było przed 55 laty w dniu 10 lutego 1940 r. o godz. 1⁰⁰ w nocy.

Urodziłem się 17.06.1932 r. na Kresach Wschodnich, w niewielkim powiatowym miasteczku o nazwie Nieświerz w województwie nowogródzkim. Wraz z rodzicami i czwórką rodzeństwa mieszkaliśmy w osadzie Kuchczyce gmina Kleck. Tutaj mój ojciec - były legionista otrzymał przydział ziemi jako osadnik wojskowy. Część ziemi tj. 4,5 ha obsadził sadem, postawił zabudowania gospodarskie i dom. Gospodarzył na tej ziemi do dnia 17.09.1939 r. tj. do chwili wtargnięcia armii sowieckiej do Polski.

Pamiętam, że wczesnym rankiem, w obejściu gospodarskim zjawili się cofający się żołnierze KOP-u (Korpus Ochrony Pogranicza). Oni też przynieśli straszną wieść o napaści sowiektów na Polskę.

Po opatrzeniu ran i zaopatrzeniu w żywność udali się do pobliskiego lasu.

Wkraczające do miasteczka Kleck wojska sowieckie witane były przez miejscowych Żydów z wielkim entuzjazmem. Na czołgi rzucano kwiaty, skandowano „wyzwolicielu”. Oni też byli organizatorami władzy administracyjnej, sądowniczej, milicji.

To oni prowadzili rozprawy sądowe i skazywali ludzi. To oni od pierwszych godzin wspomagali aresztowania nauczycieli (kierownika szkoły p. Brodzińskiego), działaczy społecznych i osadników. Z opowiadań mamy wiedziałem, że część osadników jest w więzieniu w Nieświeżu i Baranowiczach, gdzie ich bito i torturowano (każda wymiana bielizny była mocno pokrwawiona). Do dnia dzisiejszego nieznane są ich losy.

Mój ojciec, ażeby uniknąć aresztowania ukrywał się, a następnie przeszedł zieloną granicę i znalazł się w Warszawie. Później ze starszym bratem brał udział w Powstaniu Warszawskim.

Był żołnierzem A.K.

Najeźdźcy od samego początku rozporządzili rabunek. Rabowano sklepy i wszystko, co nadawało się do wywiezienia. Zabierano meble, maszyny, rozbierano piece kaflowe, wydzierano futryny, zrywano podłogi. Niszczono i palono książki polskie, szczególnie wojskowe i o tematyce historycznej. Całą bibliotekę publiczną miasteczka Klecka spalono w dołach obok koszar wojskowych.

Nie próżnowali również miejscowi działacze żydowscy, białoruscy i chłopci. Chętnie zabierano inwentarz żywy, zboże, maszyny i inny dobytek. Broniących swojej własności często mordowano. Żyliśmy w ciągłym strachu. Każde nadejście nocy było dla nas torturą. Nocowaliśmy w polu (kartoflisko) leżąc w tzw. redlinach lub zbieraliśmy się po kilka rodzin w jednym

domu. Barykadowaliśmy drzwi, okna i drżeliśmy ze strachu do rana - czy przyjdą i podpalą dom a w nim ludzi.

Tak trwało do pamiętnej nocy – 10 lutego 1940 roku.

W tę noc na całych Kresach Wschodnich Polski głośne walenie do okien i drzwi wyrwało ze snu setki rodzin.

Nasz pies Pikuś strasznie ujadał, noc była księżycowa, bardzo duży mróz (około 35° C), pod butami skrzypiał śnieg.

Matka czuwała, a przez zamrożone szyby widziała przesuwające się cienie. Byli to żołnierze NKWD i miejscowi działacze komunistyczni. Początkowo do mieszkania chciano dostać się podstępem, ale matka oświadczyła, „że drzwi nie otwory”. Wtedy usłyszała głos wojskowego: „łamaj dzwieri”. Masywne, dębowe drzwi pod uderzeniem łomu i bagnetów puściły. Matka sądząc, że to jest napad wbiegła do pokoju, gdzie my spaliliśmy, obudziła starszego brata mówiąc: „Kaziuniu napadli nas bandyci”. Brat szybko ubrał się, wskoczył w ojcowskie duże buty z cholewami, otworzył zapasowe wyjście od strony ogrodu i zaczął biec do sąsiadów po pomoc. Krasnoarmiejcy, którzy nie zdążyli jeszcze wejść do mieszkania zobaczyli, że ktoś z domu ucieka - zaczęli strzelać. Buty uwięzły w dużej zaspie śniegu, a brat szarpnąwszy się wyskoczył z nich i pobiegł dalej boso. Nim przybiegł do sąsiadów (około 900 m) odmroził nogi do kolan. Tam również było już NKWD. Tymczasem przez wyważone i rozbite drzwi do domu weszli krasnoarmiejcy. Jeden z nich przyniósł pozostawione w śniegu buty. Młody komandir posadził matkę na środku mieszkania, przyłożył nagan do czoła i krzyczał: „gdzie muż”. Pozostali dokonywali rewizji. Zawartość szaf, szuflad wywalano na podłogę. Szukano kosztowności, broni. Nam polecono zbierać się do wyjazdu. Nie zezwolono na zabranie dokumentów. Później do zbierania rzeczy na wyjazd przyłączyła się również i

matka. Do matki podszedł stary żołnierz i w odruchu litości szepnął na ucho: „mać biery pobolsze, jedziesz w niezwiestnoje”. Przeprowadzając rewizję w obejściu gospodarskim wypuszczono na podwórze krowy gęsi, świnię. W tym momencie matkę coś natchnęło. Wystawiła na podwórze jadło dla gęsi i ta, która pierwsza zbliżyła się została schwytana. Skręcono szyję i schowano do worka. Ta gęś, a właściwie jej sadło uratowało nogi brata. Po godzinie, a może i więcej zaprzężono w nasze sanie konia i wsadzono do nich matkę, brata, siostrę i mnie. Na drodze wiodącej do stacji kolejowej „Siniawka” utworzyła się kolumna sań. Tak rozpoczynała się nasza wędrówka w nieznane trwająca 6 lat.

Na stacji załadowano nas do wagonów bydłęcych. Wewnątrz piętrowe prycze i żelazny piecyk tzw. koza. Było bardzo ciasno, upchnięto nas około 80 osób a każda rodzina ma bagaż. Wreszcie zamknięto drzwi wagonu i zadrutowano z zewnątrz. Po kilku godzinach, a był już świt, pociąg ruszył. We wszystkich wagonach rozległ się płacz i szloch, w kościolach biły dzwony i żegnały nas na długie lata, a nawet na zawsze.

Dojechaliśmy do Baranowicz - otworzono drzwi, dano trochę wody, której nie wystarczyło dla wszystkich i trzeba było zeskrobywać szron z metalowych części wagonu.

Tutaj była szansa ucieczki, ale serce matki nie pozwoliło zostawić syna z odmrożonymi nogami. A więc jedziemy dalej na wschód. W wagonach ściany nieszczelne, wieje, brak opału, zimno coraz bardziej daje znać o sobie w miarę posuwania się na wschód. Nie ma też toalety. Mężczyźni wyrąbują w podłodze wagonu otwór, improwizuje się parawan. Matka topi gęsi tłuszcz i bez przerwy smaruje obrzęknięte w sinoczarnych pęcherzach nogi brata. Z Baranowicz poprzez Mińsk, Moskwę dojeżdżamy do Wologdy, a następnie do stacji

Wielsk. Ale to nie koniec podróży. Tu przesadzają nas na sanie i tak jedziemy zamaryniętym korytem rzeki od osiedla do osiedla z przerwą nocną. Wokół cisza, mróz i ośnieżona, nieprzyjazna tajga. Z trudem posuwamy się w głębokim śniegu. Podróż saniami trwała około 7 dni nim dotarliśmy na miejsce. Część transportu poszła dalej do posiołka - łagru Wieruskoje. Nasz posiołek - łagier nazywał się KUBAŁO p-ta i sielsowiet Biestuzewo, Ustiański rejon Archangielskaja Oblaść.

Jest już marzec 1940 r.

Rozlokowano nas do baraków, które zbudowali nasi poprzednicy. Byli to Ukraińcy, którzy nie chcieli wstąpić do kolchozów. Wg opowiadań miejscowej ludności przywieziono ich zimą w 1929 roku, wysadzono w lesie na śnieg i tak pozostawiono. Ci, którzy przetrwali pobudowali ziemianki oraz ww. baraki. Baraki zrobione z bali drewnianych uszczelnionych mchem, we wszystkich przez sam środek biegł korytarz i było po 2 wyjścia. Po obu stronach korytarza były izby. W izbach porobione pryce. Każda izba w zależności od wielkości mieściła kilka rodzin. W izbach nie ma oświetlenia. Wieczorami paliło się łuczywo. Były to cieniutkie listewki z brzoźowego lub sosnowego drewna, które zapalało się i wsuwano w zrobiony uchwyt. Było trochę dymu, ale za to mniej dokuczaly komary. Był również piec, wąski i wysoki, nie dawał dostatecznej ilości ciepła, nie można było wysuszyć odzieży przemoczonej w lesie. Wodę czerpało się z rzeki. Następnego dnia po przybyciu na posiołek w każdym baraku wybrano starostę. On każdego wieczoru i ranka liczył nas i zdawał raport komendantowi posiołka - łagru. Komendant nosił nazwisko Czerniajew. Utworzono również robocze brygady, wydano żywność - tj. 500 gramów czarnego, gliniastego chleba, talerz wodnistej owsianki. Każdy pracownik otrzymał: piłę, siekierę i łopatę. Tak „uzbrojone” brygady

popędzono do wyrębu lasu. Po pracy narzędzia oddawało się do naostrzenia. Robił to tzw. „piłostaw”. Sama praca w lesie polegała na odgarnięciu śniegu u podstawy drzewa (czasami na głębokość półtora do dwóch metrów), ścięcia (robiły to dwie osoby ręczną piłą) następnie odcięciu gałęzi, okorowaniu i przewiezieniu na brzeg rzeki, ułożeniu w stopy – przyzmy, przygotowane do wiosennego spławu, do którego wypędzano wszystkich zesłańców. Kloce zrzucone do rzeki bardzo często tworzyły zatopy. Ich likwidacją zajmowali się mężczyźni - płynęli tratwą i bosakami rozdzielali kloce. Praca przy wyrębie lasu była bardzo ciężka - głęboki śnieg, mróz dochodzący do 40-50° C. Bardzo biedne były kobiety, które pracowały na samym początku w spódnicach, często nie mając ciepłych majtek. Spódnice szybko mokły, zamarały i tworzyły parasol - klosz, który ranił i ocierał uda i kolana. Były odmrozenia, zapalenie pęcherza moczowego. W lesie również musiały pracować starsze dzieci. Porządkowały teren - ściągały na stopy i paliły gałęzie. Mój starszy brat w zimie pracował przy wyrębie. Ścięte drzewo ciął na klocki długości 1 m, które po porąbaniu układał w tzw. kubometry. W lecie oczyszczał koryto rzeki z krzaków nadbrzeżnych, karczował las i pracował w cegielni. Małe dzieci miały obowiązek chodzić do szkoły. Nauczycielami byli: Maria Iwanowna (nazwiska nie pamiętam) oraz nauczyciel o nazwisku Wołow.

Przy wyrębie lasu pracowała również moja matka. Po paru miesiącach od ucisku siekiery i piły na palcach obu rąk tworzą się zastrzały kostne. Rany nie chcą się zagoić. Z wydzieliną ropną wychodzą kawałeczki kości. Jest niezdolna do pracy. Karą za niestawienie się do pracy jest pozbawienie nas (całą rodzinę) przydziału zupy i chleba - jedynego pożywienia. Głodujemy przez kilka dni. Zdesperowana matka pisze skargę na władze łagru. I o

dziwo, skarga została uwzględniona, wydano żywność. Rany palców z trudem zagoiły się, ale powstały przykurcze palców, tworząc tzw. haczyki. Z chwilą nastania lata zostaje przeniesiona do pracy w cegielni. Tu praca wyglądała tak: bosymi nogami, niczym ciasto, miesiło się glinę, którą uprzednio trzeba było nakopać i przynieść na tzw. nosilkach. Następnie gołymi rękami gliniaste „ciasto” ubijało się w drewnianej formie i przenosiło się do suszenia na wiatę. Po wysuszeniu była wypalana i używana do budowy pieców w nowych barakach.

Za pracę przydział chleba i zupy był następujący:

- Stachanowcy - wszyscy, którzy wyrobiali normę oraz ci, którzy dobrowolnie przyjęli obywatelstwo sowieckie otrzymywali:
500 gr. chleba + 2 zupy (owsianka) rano i wieczorem.
- Pozostali mężczyźni pracujący:
400 gr. chleba + 1 zupa wieczorem.
- Kobiety pracujące:
350 gr. chleba + 1 zupa wieczorem.
- Dzieci i pozostałe osoby:
300 gr. chleba + 1 zupa wieczorem.

Przez okres 2 lat mięso w stołówce było tylko przez 2 dni. Każdy pracujący otrzymał kawałek mięsa (wielkości kostki cukru) tylko dzięki myśliwym, którzy upolowali niedźwiedzia. Przywieziona przez nas żywność szybko wyczerpała się, handel wymienny odzieżą ustał. Zaczął nękać nas głód, który nie opuszczał nas ani na chwilę przez cały czas pobytu na Syberii tj. przez 6 lat. Bez przerwy chodziliśmy głodni. Jedynym marzeniem nas wszystkich zesłańców było - najeść się do syta chleba, chleba, chleba naszego powszedniego. Głód powodował postępujące odczłowieczenie, zacierają się uczucia rodzinne. Zaczęła się walka o przetrwanie. Nadchodzi wiosna, wygłodzeni ludzie zbierają

spod śniegu borówki oraz grzyby (smardze), po zjedzeniu których u wielu osób wystąpiło zatrucie i zaburzenia psychiczne.

Latem w lesie zbiera się czarne jagody, dzikie maliny, grzyby jadalne. Rzeka dostarcza niewielkie ilości białka w postaci złapanych ryb. Łąka daje szczaw, komosę, lebiodę i pokrzywę. Ale to wszystko nie wystarczało. Wyczerpująca ponad siły praca, złe monotonne odżywianie zaczyna dawać rezultaty. Na górze za rzeką zaczynały szybko rosnać kopczyki z krzyżami. Ludzie coraz słabsi, prawie wszystkim zaczęły bezboleśnie wypadać zęby z powodu „cyngi”. Na ramionach i podudziach powstawały głębokie, niegojące się i bardzo cuchnące owrzodzenia tzw. „sibirskaja jazwa”. Zaczęłam chorować i ja. Słabłem, nie miałem siły chodzić, bez przerwy biegunka, zacząłem tracić wzrok.

Żeby mnie ratować i uzyskać jakąkolwiek pomoc matka zniosła mnie na swoich plecach do Biestużewa odległego od łagru około 15 km. Jej zawdzięczam ocalenie i to, że nie przeniosłem się na górkę za rzekę.

Poza ww. „przyjemnościami” nocną plagą były pluskwy i prusaki - żarły nas niemilosiernie. Do ich zwalczania mieliśmy tylko gorącą wodę. Natomiast w czasie dnia plagą były niezliczone chmary komarów i maleńkie muszki. Potrafiły one wcisnąć się wszędzie. Po ugryzieniu zostawało silne swędzenie, a następnie owrzodzenie. Rozpleniły się szczyry, zapanowała ogólna wszawica, pojawił się świerzb. Jedynym lekiem na niego był dziegieć. Każdy kto zachorował lub uległ wypadkowi w lesie był zdany na własny los.

W pierwszym okresie po przybyciu do łagru byliśmy całkowicie odcięci od świata. Zabroniono pisania listów do rodziny. Zakaz ten cofnięto dopiero po kilku miesiącach. Zaczęliśmy pisać listy i otrzymywać paczki żywnościowe. Dzięki tym paczkom duża część ludzi przetrwała, między

innymi i my (matka, brat, siostra i ja). Nasza ciocia (siostra mamy) słała nam co tylko mogła. Były to: kasza, mąka, tłuszcze, suszone sery, cebula, odzież, która była natychmiast wymieniana na żywność (kartofle, cebula). Paczki wysyłał i ojciec, i wujek ze Szwajcarii. Dochodziły do Moskwy i wracały z powrotem po wybuchu wojny sowiecko – niemieckiej. Te paczki później będą dowodem oskarżenia matki o szpiegostwo. Pomimo ciężkich warunków i przynębienia nikt nie upada na duchu. Elementem dodającym otuchy są wszelkiego rodzaju wróżby. Pani Jurkiewiczowa codziennie kładzie karty, z których wynika, że długo nie będziemy gościć w łagrze, że wkrótce wyjdziemy. I tak też się stało. Spędziliśmy na posiołku – łagrze ponad 2 lata. Jesienią 1941 roku dociera do nas wiadomość o wybuchu wojny i zawarciu układu polsko - sowieckiego, i że objęła nas amnestia.

Jesteśmy wolni, możemy zostać lub wyjechać. Wtedy zaczęły się wyjazdy. Mężczyźni gremialnie wstępowali do Armii Polskiej, za nimi podążały ich rodziny.

Posiołek - łagier opustoszał. Zostali ci, którzy dobrowolnie przyjęli obywatelstwo sowieckie i my. Nie możemy wyjechać z braku dokumentów, a także z braku pieniędzy. Pomimo tych trudności decydujemy się na ucieczkę. Matka sprzedaje jedyną pierzynę i kilka drobnych rzeczy (np. beczka drewniana). Nasz dobytek to, co mamy na sobie. Wynajęty i przekupiony kolchoźnik wiezie nas do stacji kolejowej Szangały odległej o 200 km. Tu zatrzymuje nas NKWD, gdyż jak wspomniałem nie mieliśmy dokumentów i uciekliśmy z posiołku. Nakładają na nas areszt i kierują na kwatery do kolchoźnicy. Jest jeszcze zima, nie mamy co jeść, ale jest schronienie przed chłodem i mrozem.

Zaczyna się dla nas ciężki okres. Po kilka dni nic nie jemy. Starszy brat chodzi od chaty do chaty i żebrze o kawałek chle-

ba. Ja z siostrą z braku obuwia siedzimy u kolchoźnicy na piecu. Matka robi co może, ale bezskutecznie. Na dodatek odmówiono nam kartek na chleb i zupę. Jedna z kolchoźnic doradziła mamie, ażeby poszła do najbliższej rzeźni, która znajduje się około 12 km bo tam można było dostać trochę krwi. Zagotowana nadaje się do jedzenia. Zmuszona głodem robi to.

Pewnego dnia w zawieję brnęła po kolana w śniegu niosąc kociołek krwi. Nagle za sobą usłyszała dzwoneczki. Usunęła się z drogi. Nadjechały sanie a w nich sam nacelnik NKWD, ten sam, który nie zezwolił na dalszą jazdę i odmówił wydania kartek na żywność. Poznał mamę i zawołał: „Szymanskaja odkuda idiesz?”. Z „bojni” - odpowiedziała matka. „Czto tam niesiosz?”. „Kriow” - odpowiedziała matka i podsunęła do twarzy nacelnika kociołek skrzepłej krwi. „Etim pitaju dzieciej”. „Szadziś na sanki a zawtra przyjdz ko mnie”. Następnego dnia matka podreptała do nacelnika, otrzymała kartki na żywność.

Na możliwość wyjazdu czekaliśmy około 3 tygodni - bezskutecznie. Brat często wychodził na stację i widział ludzi wsiadających do podstawianych wagonów i odjeżdżających w kierunku Wielska. Matka ciągle prosiła odjeżdżających ludzi o zawiadomienie polskich placówek o naszej sytuacji. Ale żadna pomoc do nas nie dotarła. Przez odjeżdżających sąsiadów pp. Wojnę i Jarmolińskiego mama przekazuje list z prośbą o doręczenie go do najbliższej polskiej placówki.

W tym czasie do Szangały dojeżdża p. Horbaczewska z rodziną. Wtedy mama decyduje się na powtórny ucieczkę i jazdę bez zezwolenia i dokumentów. W ostatniej chwili zachęceni przez ludzi z sąsiednich wagonów wsiadamy i za chwilę pociąg rusza.

Stacja, która zapoczątkowała drogę do wolności nazywała się Szangały i wybudo-

wana została rękami łagierników. Jedziemy przez Wielsk, Konoszę, Kotłas do Wołogdy. Tutaj po raz pierwszy od przedstawicieli Rządu Londyńskiego otrzymujemy gorący posiłek, żywność, odzież. Czekamy na zbiorowy pociąg jadący na wschód, a tymczasem nocujemy na dworcu w ogromnym ścisku i tłoku. Panująca wszawica sprzyja szerzeniu się tyfusu. Śmiertelność jest duża, jeden zaraża drugiego, wszy zmarłego przechodzą na żywego. Rano stwierdza się, że noc spędziło się leżąc obok zmarłego lub opierało się na nim swoją głowę.

Po kilku dniach formuje się pociąg. Wagony takie same jakimi nas wywożono, wewnątrz takie same prycze. Ruszamy. Na większych stacjach dostajemy gorące posiłki, chleb, pomoc lekarską. Organizują nam

też tzw. „san - obrabotku”. Było to specjalne pomieszczenie do tępienia wszy za pomocą wysokiej temperatury. Pomimo lepszego odżywienia, walki z wszawicą nas Polaków zaczyna atakować tyfus. Epidemię tę pogłębiają leningradzcy, którzy po przerwaniu oblężenia miasta - wynędzniali, głodni, schorowani, wywożeni są na tyły kraju. Pociąg wiozący nas i leningradczyków zatrzymuje się przed każdym większym miastem. Ekipy sanitarne zabierają chorych, zmarłych układało się wzdłuż torów. Gdzie oni są pochowani wie tylko jeden Pan Bóg.

Jedziemy przez miasta Kirów, Mołotow. Tutaj do szpitala zabierają mojego starszego brata i ślad po nim ginie. My jedziemy dalej - matka, siostra i ja.

Na stronie 56 prezentujemy, sporządzony przez autora, odręczny plan osady Kuchczyce. Wymienieni osadnicy zostali wywiezieni z autorem 10 lutego 1942 roku. Rodziny zaznaczone ciemniej przebywały na posiołku – łagrze KUBAŁO.

W drugiej części wspomnień przedstawimy państwu plan posiołku Kubało, Ustiański rejon, Archangielskaja obłaść oraz plan izby baraczej gdzie mieszkał autor.

c.d. wspomnień w następnym numerze KS